

## SIERPIEŃ 1939

Z rozległego niegdyś lasu, puszczy pradawnej, zachował się chyba cudem — ale każdy głupi wie, że nie ma przecież cudów ot tak, na zawołanie, jest za to wola boska — jako znak i na pamiątkę oraz jako świadek oskarżenia. Ten wyniosły buk, samotnik i pielgrzym w czasie. Ten buk był dla miejscowych święty i straszny zarazem, za taki uchodził, a chłopci, zarówno katolicy, jak i prawosławni, unicy, lud tutejszy, ba, co więcej, nawet ci starozakonni lękali się go niczym głęboko skrywanego własnego nieczystego sumienia. Ten buk potrafił pamiętać i mścić się okrutnie, tak jak potrafi „tutejszy człowiek”. Mimo to, a może właśnie dlatego, nigdy nie poraził go piorun, choć wyczerpywał wszelkie naukowe przesłanki, ażeby tak się właśnie stało. Żaden człowiek miejscowy ani furmanki, ani konia pod tym bukiem obciążonym złą pamięcią nie postawiłby. Nawet w skwarny szczyt białego lipcowego dnia. O zło się, człowieku, nie dopraszaj, hardego kułaka mu przed oczy nie podstawiaj, chyba żeś durak albo już bardziej umarły. Powiadało się o nim — ten buk, to szczególne drzewo — znak pokutny, wyrzut sumienia — dość, ani słowa ponadto, wszyscy wiedzieli, który i gdzie stoi. Gdzieś blisko, a może pod nim samym, krwawy mściciel ludu tutejszego Gonta podczas koliszczyzny ukrył skarb, gdy powracał z krwawej rzezi panów braci szlachty czy Żydów w Lisiance, bądź w pobliskiej Rudawce Makarowie. Gonta — okrutnik i mściciel, ten słynny i straszny Iwan Gonta, niegdyś Kozak w służbie panów Potockich, buntownik, postrach i rzeźnik polskiej szlachty, mściwy miecz boży ukraińskiego narodu, ten, który na niewyobrażalnych mękach zakończył krnąbrne życie, ale co sobie

pohulał, to pohulał, co szlacheckiej krwi utoczył, to utoczył. Wszyscy tutejsi o skarbie wiedzieli, ale nikt nie ośmielił się go szukać, przekłętogo skarbu ociekającego krwią pomordowanych. Owe potoczne przeświadczenie udzieliło się także Łukaszowi Winnickiemu, nauczycielowi historii i języka polskiego w szkole powszechnej w Rudawce, miasteczku szczególnie umiłowanym przez pamięć. Kiedy zdarzało się, że okoliczności przymusiły go do powrotu do domu drogą obok buka Gonty, drzewa złej sławy, naumyślnie nadkładał drogi. Obchodził go szerokim łukiem, brudząc buty, a często i nogawki, poprzez szpakowacizny piołunu i burego rdestu rozdeptanego racicami kóz. Powracał do swego małego domku, drewnianego, czteroizbowego, krytego blachą umaczaną już w zielonym pluszu mchu. Domek okiennice miał przyjaźnie zielone i zwykłą w tych stronach werandkę, której słupy pokryte były gęstym ornamentem dzikiego wina, na której niepomalowaną podłogę wychodził Łukasz wieczorem, aby wypalić przy dobrej pogodzie ostatniego papierosa. Plamy cienia leniwie układały się na deskach. Jego domek smętniał, ale był to miły smutek, pod topolami i brzoźką jedynaczką. Przyczepiony do brudnożółtej wstążki gościńca kluczącego wśród płowych garbów i pęcherzy czarnej urodzajnej ziemi. Gościńiec obiegały brzoźki samosiejki i krnąbrne jałowce. Domek Winnickich, cokolwiek kieszonkowy, przycupnął pokornie na końcu polskiej osadniczej wsi, nazwanej, co jest istotne, na cześć męznego polskiego generała — Hallerówką. Za domkiem, ot, jak u ludzi tutejszych, piętrzyła się ponad bzami szopka z okrągłaków, na opał i narzędzia odpowiednia, następnie koziarnia, wedle nazewnictwa centralnopolskiego, nowoczesna, z czerwonej cegły z miejscowej cegielni. Tudzież, w pewnym oddaleniu, ściśle kresowy świren, czyli paszarnia. W obórce, czyli koziarni, zamiast jak u innych krowy, pobrykiwały zadziorne kózki, użytkowniczkami artystycznej natury, gdyż merdają ucieszenie bródkami jak awangardowi malarze pędzłami. U wejścia do koziarni, na belce wisiał szerniały szkielec nietoperza, tkwił w tym miejscu celowo, ażeby odstraszyć zło, zwłaszcza te ciemne moce napędzające duszności, które mógłby się imać chudoby. Reszta dobytku, ot mizeria, taka wyliczanka: parę kurek nadzorowanych przez dzielnego koguta paradującego w modrym kubraczku, kot z białym uchem, bardziej gość niż domownik, schludny warzywnik, i to wystarczało na te pierwsze domowe potrzeby. Przed domkiem piętrzyła się łącha piasku,

za pierwszą druga — żwiru, bardziej połyskliwa, jakby zlewana tłustą wodą. Obie przygotowane na utwardzenie płowego gościńca, który miał się przemienić w regularną drogę wiodącą do sąsiedniej, zasobnej ukraińskiej wsi — Tuzubiniec, która, jak się sądziło, tężała od nienawiści do polskiej władzy, a polska władza nie zawsze szanowała ludzi i rozumiała praw tej ziemi.

Z Tuzubiniec wywodziła się żona Winnickiego — Aleksandra, która teraz bardziej udawała, że gniewa się z powodu niefrasobliwie utyłanego mięsistym błotem, podbitego kozim łajnem obuwia męża.

Już w sieni Winnicki, posapując z zadowolenia, zzuwał buty. Z roz wagą postawił je na drewnianej kratce zbierającej błoto, nie chciał flejtuszyć ponad normę. Zwykle, prawie zawsze, kiedy przechodził koło złowrózbnego drzewa, przynosił żonie kwiatki z pól. Ot, taki inteligencki odruch. Aleksandra, bujna i wyniosła, dumnej urody, w której miesza się ciepły, wiecznie aromatyczny oddech Czarnomorza i siność rozległych pól, sytego, tuż za miedzą, złotopszenicznego Wołynia, przyjmowała te kwiatki ze słodyczą młodej, czystej dziewczyny. Wówczas Winnicki popadał w dziwne zakłopotanie i jadł obiad jak żołnierz na poligonie, z oczami utkwionymi w talerz. Ich jedyne dziecko, już młodzian prawie, bo licealista, Wiktor, nic z tych zawilości między rodzicami jeszcze nie rozumiał, ale wyczuwał coś wyjątkowo intymnego, co łączy, ale jednocześnie dystansuje tych dwoje ludzi. Wiktor, takie imię oboje wybrali, specjalnie, na dobrą wróżbę, to wywodzące się z antyku imię, neutralne, miało ich troje jeszcze mocniej połączyć. Jego, Polaka, nauczyciela, ledwie co nastąpiła (dla tych stąd, co znaczyło te gwałtowne i piękne siedemnaście lat) rodem z Gór Świętokrzyskich, i ją, miejscową, córkę ukraińskiego mleczarza aktywisty, Semeniuka, który poległ za cara w pierwszym roku Wielkiej Wojny w lasach wschodniopruskich, ale nim poległ, zdążył założyć pierwszą ukraińską mleczarską kooperatywę w okolicy. Poległ na północnej ziemi czerwonych rycerskich zamków, krystalicznych, cichych jezior. Dziwne obroty losów, czy nie powinien złożyć swoich kości tu, gdzie schodzi się Wołyń z Podolem i spala się w jedno ciało ziemi, na której każda sprzeczka, nawet grymas, burknięcie może przerodzić się w rzeź, każdy płomyczek niepokoju w pożogę nienawiści, a klątwa długiej i dobrej pamięci jest zarzewiem pożaru.

Łukasz, pionier i rewindykant, z nakazem pracy przyjechał do Rudawki, aby nauczać historii Piastów i Jagiellonów, wierszy Mickiewicza rusińskie, polskie, żydowskie i czeskie dzieci (tak mówiono, ale jakoś czeskich się w swej dziatwie nie doliczył, przynajmniej jak dotąd). Spotkał i zauroczył się na tołkuczce, przy straganie z arbusami, w pięknej Oli, jedynaczce od Semeniuków, córce znacznie gospodarskiej — jak się z uznaniem mawiało. To było tak porażające doznanie, tak jakby poczuł pulsującą krew — ukrop w wargach, jakby raptownie i nieostrożnie dotknął brzegu kubka z wrzątkiem, jakby ktoś od środka zadławił go żelazną dłonią, jakby sam z siebie uraził się czymś nadzwyczaj ostrym i kąśliwym, jakąś ością piekającej namiętności ugodził się w samo nagie, bezbronne serce.

A był to czas szczególnie bujny i duszny, występny także w całej naturze. Polacy powiadają, że to czas babiego lata, Rosjanie, że to czas błogosławiony, bo pora Wniebowzięcia Matki Boskiej — Uspienije — przepiękne dni i równie kuszące noce sunęły ponętną kawalkadą jak panny w korowodzie tanecznym, ćmił srebrzystym błękitem schyłek wrześniowego lata, pomarszczone złoto wypełzało na obłoczki, wrzos mężnie pęczniał od szaleńczej orgii i fioletów na ugorach, brzozowe listki stawały się niemal przezroczyste, powietrze zgęstniało i było uroczyście kryształowe. Pora odlotów i pożegnań, gdy dzikie gęsi przeciągle uskarżały się, podskubując sine i seledynowe chmury. Szła smukła, powiewna, do wonnej, białej brzozy podobna, o wargach purpurowych i oczach jak rozpalone ciemnoorzechowym ogniem węgle. Ona nie zwróciła na niego — przynajmniej tak twierdziła — najmniejszej uwagi, on zaś chłonał całym swym jestestwem, mocą i żarem swych dwudziestu paru młodych lat pejzaż jej niewinnie okrutnych powabów: jej drobne piersi połyskujące pod obcisłą bluzeczką, szczupłą talię, linię bioder, słodką jasność cery. Białe ząbki jak srebrne ostrogi błyszcząły, kiedy się uśmiechała, a małe dołeczki pojawiały się na policzkach i znikwały płochliwie za każdym poruszeniem warg z wprost dziecięcą swobodą.

Od tamtego porażenia miłosnego spać spokojnie nie mógł. Do zgody przyszło im łatwo, byli młodzi i bardzo w sobie zakochani. Ich małżeństwo przez krewnych z obu stron odebrane zostało jako rodzaj zdrady, a co najmniej buntu, ponadto strona polska uznała je za dziwactwo, a strona ukraińska za szaleństwo, jeśli nie coś gorszego.